ŚWIATŁO

Rok VIII. Bytom G.-Szl., 1-go Maja 1894. Nr. 9.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KSIĄŻĘ I ŻEBRAK.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Potem wszedł jeden z sekretarzy państwowych, prosząc, by król potwierdził postanowienie tajnej rady, iż jutro o 11-tej nastąpi uroczyste przyjęcie u jego królewskiej mości posłów obcych mocarstw. Tom spojrzał pytająco na Hertforda, a ten mu szepnął:

— Niech pan miłościwy potwierdzi postanowienie, posłowie chcą wyrazić współczucie swoich monarchów z powodu ciężkiej straty, która dotknęła waszą królewską mość i państwo.

Tom usłuchał. Inny sekretarz państwowy przeczytał następnie wykaz wydatków dworu zmarłego króla, który w czasie ostatniego półrocza wyniósł sumę 28.000 funtów.

Oddechu nie stało Tomowi, gdy posłyszał tę sumę, gdy się dowiedział, że 20.000 są jeszcze do zapłacenia, a skarb królewski próżny, i że 1.200 rozmaitych sług proszą o płacę i nie otrzymują jej. Żywo wypowiedział teraz chłopiec, co pomyślał:

— Na ten sposób idziemy do zguby, to rzecz jasna. Pozwólcie mi zamieszkać mniejszy dom i odprawcie wszystką zbyteczną służbę. Z tego wyniknie jeszcze korzyść pozbycia się niepotrzebnych, zbyt gorliwych, często męczących usług, które lalceby tylko dogadzać mogły, bo sama nie ma rozumu i nic sobie zrobić nie potrafi. Przy rybim targu w Billingsgatte stoi mały dom mieszkalny...

Silne pociśnięcie ramienia przywiodło go do świadomości swego położenia i umilkł. Na pozór nikt nie słyszał jego nierozsądnej mowy, albo też jej nie rozumiał.

Inny sekretarz uwiadomił, że zmarły monarcha w ostatniej swej woli wyniósł hrabiego Hertforda na godność książęcą, jego brata zaś, sir Tomasza Seymoura parem państwa uczynił, a syna Hertforda hrabią mianował. Kilku innych dostojników państwa podniósł także w godnościach; rada zaś tajna chce 16 Lutego na osobnem posiedzeniu potwierdzić wszystkim ich nowe zaszczyty. Ponieważ nieboszczyk król nie wymienił wyraźnie, z jakich funduszów mają być

dostarczone podniesionym w dostojeństwie potrzebne środki pieniężne, a tajna rada zna życzenia zmarłego w tym względzie, uważa więc za właściwe, Seymourowi 500 funtów zapewnić w posiadłości ziemskiej, tak samo 800 funtów rocznie synowi Hertforda, a oprócz tego 300 funtów z dochodów tego biskupstwa, które najprędzej zostanie opróżnione, jeśli tylko król teraz miłościwie panujący na to się zgadza.

O mało co nie wystąpił Tom z oświadczeniem, że lepiej pierwej długi niebożczyka króla popłacić, niż takie sumy bezpożytecznie trwonić, lecz dość wcześnie dotknął znowu jego ramienia przezorny Hertford, i Tom, choć w duszy nierad, potwierdził w milczeniu podane wnioski. Raptem powstała w nim myśl nowa: kiedy on może tak dostojeństwa tworzyć i rozdzielać, czemuż by swojej matki nie mianował księżną na Offal-Court i nie obdarzył jej odpowiednim do godności majątkiem? Ale równie prędko jak powziął tę myśl, opuścił ją. On się wprawdzie nazywał królem, ale ci dumni panowie i siwi dostojnicy panowali za niego. Dla nich matka jego byłaby tylko urojeniem chorego mózgu. Słuchaliby nie wierząc i tylko po doktora chybaby posłali.

Nudne dla Toma posiedzenie przeciągało się dalej. Liczne prośby, patenta, ogłoszenia następowały i musiały być załatwione, jedne po drugich, aż Tom wzdychał w duszy. Czem ja tak obraziłem miłosiernego Boga, że mnie pozbawił swobody, powietrza i słońca i tak surowo skarał, że króla ze mnie zrobił? Głowa spadła mu na ramię i sprawy państwa musiały być powstrzymane, bo usnął wyobraziciel najwyższej władzy. W milczeniu stali chwilę panowie w około tronu, lecz wobec snu znużonego dziecka musieli przerwać naradę.

Weselszą godzinę spędził Tom tego przedpołudnia, za pozwoleniem swych opiekunów Hertforda i St. Johna w towarzystwie lady Elżbiety i lady Joanny Grey, ale obie księżniczki były dziś zasmucone nieszczęściem, które dom królewski dotknęło. Później miał uroczyste odwiedziny księżniczki Maryi, które dla niego tę jednę dobrą miały stronę, że krótko trwały. Zaledwie chwilę był sam, gdy wpuszczono do niego wysmukłego, może dwunastoletniego chłopca. Przybysz był ubrany czarno z koronkami u szyi, ręce miał śnieżnej białości, Na znak żałoby nosił niebieską przepaskę przez plecy i piersi. Nieśmiało, z odkrytą głową, zbliżył się i ukląkł przed Tomem na jedno kolano. Tom siedział spokojnie i przypatrywał mu się; wreszcie rzekł:

— Wstań chłopcze, kto jesteś? Czego chcesz?

Chłopiec podniósł się, stanął spokojny, ale smutny.

— Jakto nie przypominasz mnie sobie, milordzie? Jestem twoim chłopcem do bicia.

— Moim chłopcem do bicia?

— Tak, miłościwy panie. Jestem Humphrey Marlow.

Tom nie mógł odgadnąć, ktoby to był, opiekunowie wcale go o nim nie uprzedzili. Przykro mu było że nie wiedział, co ma robić i mówić. Czy ma udawać, że zna chłopca, którego każde słowo wskazywało mu, że nigdy o nim nic nie słyszał. Nie, tego nie potrafi. Lecz znowu inna myśl mu przyszła: czy wypadek podobny nie może powtarzać się co dzień, teraz kiedy ważne sprawy odwoływać muszą od niego Hertforda i St. Johna, zwłaszcza że obadwaj byli wykonawcami testamentu? Trzeba koniecznie, aby on sam rozważył, jak się w takich razach ma zachować. Trzeba spróbować porozumieć się z tym chłopcem; może on mu się na co przyda. W zamyśleniu posunął ręką po czole; potem rzekł:

— Zdaje mi się, że muszę cię znać, ale mój umysł jest jeszcze chorobą przytłoczony...

— Biedny mój pan! — zawołał chłopiec ze współczuciem, a w duszy pomyślał: — Więc prawda jest to, co mi mówiono, on ma rozum pomięszany. Nieszczęśliwy! Lecz mi surowo nakazano, żebym nie dał poznać, że widzę w

nim jakąś zmianę. Trzeba mi o tem pamiętać.

— To szczególne, jak mnie często pamięć od dni kilku zawodzi — rzekł Tom. — Nie zważaj na to, już mi lepiej. Czasem wystarcza mi lekka wskazówka, abym sobie przypomniał znowu imiona i stosunki, których pamięć zatraciłem, (zwłaszcza osób, o których nigdy nie słyszałem). Powiedz, czego żądasz?

— Jest to rzecz małej wagi bardzo, miłościwy panie, o której chcę mówić, lecz jeśli pozwalasz, to się odważę. Przed kilku dniami były trzy błędy w greckiem zadaniu, które wasza królewska mość napisałeś, czy przypominasz to sobie?

— Hm, być może. (Trudno mi kłamać tak stanowczo, gdybym był greckie zadanie pisał, byłoby w niem nie trzy, ale trzydzieści błędów). Tak, tak, mów dalej.

— Nauczyciel gniewał się, że to było bardzo nieuważnie, niedbale zrobione i mówił, że mnie za to porządnie wybije.

— Ciebie wybije za to, że ja błędy porobiłem? — zawołał Tom tak zdziwiony, że o ostrożności wszelkiej zapomniał.

— Miłościwy pan zapomina, że kiedykolwiek nie odpowie wymaganiom nauczycieli, to ja za to jestem bity.

— A tak, zapomniałem. Masz mnie uczyć po za godzinami lekcyi; kiedy więc nie umiem, nauczyciel myśli, że nie dopełniłeś obowiązku.

— O miłościwy panie, co mówisz! Ja najniższy z sług twoich miałbym ciebie uczyć?

— Za cóż więc karzą ciebie? Rozwiąż mi tę zagadkę. Czy ja jestem szalony, czy ty? Mówże prędzej.

— Najłaskawszy królu, to przecież jest jasne i wyraźne! Nikt by nie śmiał poświęconą osobę księcia Walii karcić lub bić; jeśli on zawinił, to ja karę odbieram, to zupełnie sprawiedliwe i słuszne; to moja służba, z której żyję.*)

*) Jeszcze Jakób I i Karól II mieli takich chłopców, których za nich bito.

Tom patrzał ze zdumieniem na mówiącego, potem pomyślał:

— To jeszcze dziwne, że nikogo nie najmują, kogoby za mnie czesali i ubierali? Gdyby tak robili, chętniebym w zamian wziął rózgi i Bogu za tę zamianę podziękował. — Głośno zaś wyrzekł: — Czy już otrzymałeś karę, którą ci zagrożono?

— Nie, miłościwy panie. Dopiero dziś miałem dostać bicie, może zatrzymują się z tem, uważając za niestósowne w czasie wielkiej żałoby obecnej. Nie wiem, ale ośmieliłem się przyjść przypomnieć Waszej królewskiej mości, iż raczyłeś mi obiecać...

— Że pomówię z nauczycielem i ochronię cię od kary.

— A miłościwy pan przypomina to sobie?

— Jak widzisz, moja pamięć poprawia się. Uspokój się, plecy twoje wolne będą od razów... Już o to się postaram.

— Dzięki najserdeczniejsze, panie mój miłościwy! — zawołał chłopiec zginając kolano. — Może ja już i tak za wiele się odważyłem, a jednak...

Humphrey zawahał się, ale Tom zachęcił go, aby śmiało mówił dalej i zapewnił, że właśnie tak jest usposobiony, że chętnie coś dla niego uczyni.

— Pozwól mi więc, panie mój, wyrazić, co mi ciężko leży na sercu. Nie jesteś już księciem Walii, lecz królem i nikt nie śmiałby się sprzeciwić twoim rozkazom. Zapewne na przyszłość nie zechcesz się męczyć nużącemi naukami, rzucisz twe książki w ogień i w przyjemniejszy sposób czas będziesz przepędzał. Wtenczas jestem zgubiony, a ze mną moje osierocone siostry.

— Zgubiony? Dla czego, proszę cię?

— Moje plecy dają mi chleb, najłaskawszy mój władco. Gdy one nie będą bite, na głód będą skazane. Skoro zarzucisz nauki, miłościwy panie, to jam już zbyteczny: bo wtedy nie potrzebujesz już chłopca do bicia. O nie odpędzaj mnie!

Zmartwienie jego wzruszyło Toma głęboko. Z iście królewską wspaniałością zawołał:

— Uspokój się, biedny chłopcze, twój urząd pozostanie ci na zawsze i przejdzie na twoich potomków. — Wyciągnął swój miecz, dotknął lekko płazem klingi pleców klęczącego i zawołał:

— Wstań, Humphreyu Marlowie, dziedziczny i najwyższy zastępco w odbiorze razów za książąt królewskiego domu Anglii. Odpędź twe troski, ja się do książek znowu zabiorę i tak źle będę się uczył, że ci twą pensyę w trójnasób powiększą, tak częstem będzie twoje urzędowanie.

— Dzięki za twą łaskę, szlachetny mój władco. Twoja królewska wspaniałomyślność przewyższa moje najśmielsze marzenia. Nie tylko ja sam, całe pokolenie Marlowów będzie szczęśliwem.

Tom miał tyle rozumu, iż zauważał, że ten chłopiec może mu być bardzo pożytecznym. Zachęcił Humphreya, aby dalej o sobie opowiadał, czego tamtemu dwa razy nie trzeba było mówić, zwłaszcza iż zdawało mu się i cieszył się tem, że się przyczynia do uzdrowienia króla; tak chętnie Tom go słuchał, tak zdawał się przypominać sobie jasno te rozliczne drobne okoliczności i zdarzenia razem przebyte, to w sali nauki, to w pokojach księcia, o których Humphrey rozpowiadał bez końca. Po godzinie tej pogadanki Tom pozyskał wiele wiadomości, dla niego bardzo cennych, o zwyczajach dworu i osobach do niego należących. Postanowił więc, iż często z źródła tego czerpać będzie, i rozkazał, by Humphrey miał zawsze wstęp do niego wolny, skoro monarcha Anglii nie będzie zajęty sprawami ważniejszemi. Skoro »chłopiec do bicia« odszedł, przybył lord Hertford, aby Toma znowu męczyć.

Lord wyraził obawę członków tajnej rady, aby nie rozszerzały się wśród ludu przesadne wieści o stanie zdrowia króla i nie dostawały się ztąd za granicę. Dla tego najlepiej będzie, gdy jego królewska mość za dni parę zacznie jadać publicznie. Kwitnące wyglądanie króla, ruchy jego pełne odwagi i siły i zachowanie się prawdziwie królewskie przytłumią w samym zarodzie podobne pogłoski, jeżeli one istnieją.

Ostrożnie, jakby tylko pomagając jego pamięci, obznajomił go hrabia z całym ceremoniałem zwykle w takich razach zachowywanym. Z bardzo miłem dla siebie zdziwieniem spostrzegł, że Tom nie wiele tej pomocy potrzebuje, bo dosyć wie i pamięta. A były to wiadomości zaczerpnięte z rozmowy z Humphreyem. Tom oczywiście zamilczał o źródle swych wiadomości.

Hrabia widząc, że pamięć młodego króla znacznie już lepsza, próbował wystawić ją na próbę różnemi, niby przypadkowo zadawanemi pytaniami. Niektóre odpowiedzi wypadły dobrze, gdyż tyczyły się rzeczy, o których Humphrey mówił. Uradowany lord rzekł wesoło:

— Gdybyś wasza królewska mość raczył teraz wytężyć jeszcze trochę pamięć, to jestem pewny, że wyjaśniłaby się zagadka tajemniczego zniknienia pieczęci państwowej. Wczoraj było to jeszcze wielką szkodą, dziś jest już rzeczą obojętniejszą, bo jej służba skończyła się z życiem zmarłego naszego pana. Czy wasza miłość nic nie może sobie przypomnieć, co się stało z tą pieczęcią?

Na to pytanie nie był Tom przygotowany. Nie miał wcale wyobrażenia o pieczęci państwowej. Chwilę myślał potem zapytał:

— Jak ta pieczęć wygląda, milordzie?

Hertford zerwał się zdziwiony, potem szepnął sam do siebie:

— Znowu go rozum opuścił, zbłądziłem, chcąc, aby wytężył pamięć. — Zręcznie zwrócił rozmowę na inne przedmioty, aby uwolnić myśl Toma od nieszczęsnej pieczęci. Udało mu się to wkrótce zupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W SZACIE MAJOWEJ.

W SZACIE MAJOWEJ.

Wiatr ciepły wionął, świat odmłodzony
Kąpie się w fali promiennej;
Zieleń i złoto na wszystkie strony
Przebłyska w szacie wiosennej.

Górą skowronek piosnką podzwania
A dołem szepcą coś trawy,
I wiosennego chciwy zarania
Pierwiosnek wyjrzał ciekawy.

Lasy się młodym okryły liściem,
Łąka szmaragdem się wdzięczy,
Bzy liliowym strzelają kiściem,
Wszędzie barw pełno, jak w tęczy.

I czy w różowej porannej zorzy,
Czy też w zachodu szkarłacie,
Wonny i barwny ten światek Boży
W wiosennej pyszni się szacie!

ALCHEMIA I ALCHEMIŚCI.

(Dokończenie).

Ostatni trzej adepci czarodziejskiej sztuki zamieniania innych kruszców na złoto, którzy w ogóle zasługują, aby ich wymieniono jako takich, i o których podają pewne wiadomości, to Philaletha, Laskaris i Sehfeld. Żyli oni w drugiej połowie siedmnastego i na początku ośmnastego wieku, a współcześni im wyrażają się z taką absolutną pewnością o ich projekcyach, że wątpić trudno, a zrozumieć jeszcze trudniej. Pierwszy z nich darował odrobinę substancyi przedziwnej pewnemu lekarzowi, zaciętemu wrogowi alchemii, a kiedy się temu projekcya udała, z wroga stał się zapalonym adeptem tajemniczej sztuki. Jak wielkie wrażenie sprawa ta naówczas wywarła, można poznać z tego, że ówczesny filozof Spinoza, którego z pewnością o łatwowierność nikt nie posądzi, stanął w obronie całej sprawy i z całym zapasem wymowy starał się przekonać przeciwników o niesłuszności ich posądzenia.

Drugi z nich dał również dowody swych niezwykłych wiadomości w alchemii. Posłał on oto cząsteczkę substancyi, mającej własność przeistaczania innych kruszców w srebro, do Wiednia. Tam przemieniono istotnie kilka miedzianych pieniążków za jej pomocą w srebro, o czem do dziś dnia świadczy protokół, podpisany przez kilka wysoko postawionych osób, między nimi przez pruskiego posła na dworze wiedeńskim, przez austryackiego wicekanclerza i t. d. Od niego otrzymał także pewną ilość tego proszku przedziwnego niejakiś Böttger, który nim w Berlinie kilka projekcyi dokonał. Kiedy go zamierzano za to osadzić w więzieniu, uciekł do Saksonii, ale dostał się z deszczu pod rynnę. August II-gi potrzebował pieniędzy, a że trudno było postarać się o nie zkądinąd, postanowił więc do dopięcia swego celu użyć »fabrykanta złota«. Nie namyślając się długo, kazał Böttgera pojmać i uwięzić, sposób to co prawda nie sprawiedliwy, ale podonczas nie tak nadzwyczajny. Laskaris ofiarował za wypuszczenie Böttgera księciu elektorowi saskiemu aż 800000 dukatów — sumę na owe czasy ogromną! — ale nadaremnie. Böttger pozostał więźniem w fortecy Sonnenstein, gdzie czas przepędzał na doświadczeniach chemicznych. Tam to wynalazł — porcelanę i przez to położył fundament do przemysłu, który następnie w Niemczech, a szczególniej w Saksonii przyjął rozmiary, o jakich przedtem nikt nie marzył. Dziś w przemyśle tym jest zatrudnionych kilka tysięcy ludzi, a chociaż wyroby porcelanowe nie są wcale złote, to jednak znakomitsze i delikatniejsze wyroby sławnych fabryk jak

saskiej w Miśnii lub francuskiej w Sevres (czytaj Sewr) szły i idą prawie na wagę złota. Potwierdza się oto stare przysłowie: nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Trzeci z wymienionych, Sehfeld, przesiedział również kilka lat w więzieniu z rozkazu cesarzowej niemieckiej Maryi Teresy, aż mu wreszcie się udało omylić straże i zemknąć. Odtąd działał w Niemczech tylko przez innych; o jego sztuce istnieją niezaprzeczone dowody, którym przynajmniej pozornie nic a nic nie można zarzucić.

Był to ostatni alchemista, który na to miano zasługuje.

Alchemia jednak nie upadła jeszcze z jego śmiercią. Światło zaranne, jakie powstająca na gruzach alchemii nauka, zwana chemią, roztaczać zaczęła, nie było jeszcze tak jasnem, aby módz rozpędzić mglisty pomrok, jakim była otoczona alchemia. Odtąd uprawiano alchemią potajemnie w towarzystwach, których nie brakło w żadnym kraju. Wszystkie nosiły zagadkowe nazwy, a niektóre liczyły między członkami nawet ludzi zażywających zkądinąd znacznej sławy u współczesnych. Działalność ich zagadkowa jak ich nazwy — nikt się bowiem nie dowiedział, czy ich zabiegi odniosły jakikolwiek skutek — sięga aż po rok 1819.

Atoli jeszcze w roku 1835 nadesłał ktoś stowarzyszeniu przemysłowemu w Weimarze flaszeczkę tynktury z zapewnieniem, że takowa posiada wszelkie właściwości, chociaż w słabym stopniu, jakie ongi przypisywano tynkturze alchemicznej. W płynie tym, jak się przekonano, było rozpuszczone złoto.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych żył we Francyi chemik, nazwiskiem Javary, czytaj (Żawary), który się przechwalał, że wynalazł »kamień mędrców«. Tym razem nie był to jednak kamień, lecz część składowa powietrza, kwasoród, za którego pomocą miało się dać urzeczywistnić przeistaczanie metali.

Początkowo głoszono istne dziwy o jego doświadczeniach, w końcu sprawa ucichła, i dziś wiemy o wielkim eliksyrze, o cudownej tynkturze, znowu tyle, co przed tysiącami lat — to jest nic!

Cóż więc sądzić o całej alchemii i o tych eliksyrach, tynkturach i proszkach? — zapyta może niejeden rozczarowany czytelnik. Na to odpowiedź taka:

Prawda, że w historyi przechowała się pamięć wypadków, które się zdają potwierdzać prawdziwość cudotworczych przeistaczań alchemistów, ale — tylko się zdają. Prawdą jest nie mniej, że dokumenta, zapewniające, iż temu lub owemu szczęśliwszemu adeptowi alchemii udało się »zrobić« złoto, są dostatecznie potwierdzone przez ludzi wiarogodnych, którzy alchemistyczne złoto mieli w swych rękach, doświadczyli nawet drogą rozkładu chemicznego, jaka była jego zawartość, i uznali je za czyste. Mimo to nie poważymy się jednakże powiedzieć, żeby treść dokumentów tych nie dała się już wcale podać w wątpliwość. Toć mamy również dokumenta z minionych czasów, zapewniające, że cioty ważone wobec zgromadzonej rady miejskiej na wadze ratuszowej nie ważyły więcej nad 3 kwintki, i tym podobnej treści nie do uwierzenia. Czyby to miało być także prawdą?

Nie przeczym, że niejednemu alchemiście udało się niby rzeczywiście zrobić złoto, — ale to było chyba proste oszustwo. Takie zajście podają nam kroniki o niejakimś Danielu alchemiście, który w połowie szesnastego wieku żył na dworze wielkiego księcia Toskany, Kosmy Medycejskiego. Daniel, który już przedtem cieszył się sławą szczęśliwego adepta, w pierwszym roku swego pobytu na dworze księcia jakby zapomniał o alchemii, oddając się z zapałem sztuce lekarskiej. Wreszcie po roku, kiedy się księciu znudziło czekać dłużej, postanowił zdać przed nim dowód swej wiedzy. Dawszy księciu zupełnie szczegółowy opis, co czynić i jakich środków użyć należy, ażeby się projekcya udała, pozostawił mu dalszą czynność do woli — i o dziwo, książę wydostał rzeczywiście dobre złoto, którego zawartość

rozkład chemiczny dowiódł niezbicie! Ucieszony, że mu się sztuka od razu udała, książę przesłał alchemiście w podarunku 20 tysięcy dukatów. Dziwny to, co prawda, podarunek dla człowieka, który sam umie wyrabiać złoto. Daniel jednakże nie uważał wcale, żeby podarunek był dziwny, przyjął go z podziękowaniem i udał się czemprędzej do Paryża.

Ktòżby tu mógł dopatrzyć się oszústwa? Chyba nikt, — i może do dziś dnia wierzonoby święcie, że ten wypadek przeistoczenia podłego kruszczu w szlachetne złoto nie ulega żadnej wątpliwości, gdyby Daniel sam nie był o tyle uczciwy i chcąc zachować księcia od dalszych strat i zawodów, nie był go z Paryża powiadomił, że sprawa cała to tylko genialnie obmyślane oszustwo. Trudniąc się przez pierwszy rok leczeniem, używał przedewszystkiem środka, który nazwał »usufur« a któremu przypisywał wielką skuteczność leczniczą. Środek ten miały na składzie wszystkie apteki Florencyi, które go od niego nabywały, ponieważ nikt nie wiedział, z czego się składa. Otóż usufur zawierał w sobie wiele złota, czego się nikt nie domyślał i nie mógł domyślić, ponieważ Daniel dostarczał go za tanie pieniądze. Mógł to zaś czynić bez wielkiej szkody, ponieważ zestawiając lekarstwa, w miejsce kupionego przez chorego usufuru używał innego proszku, a inni się z nim nie umieli obchodzić. Oczywiście w przepisie fabrykacyi złota, danym księciu, znajdował się także usufur i to w znacznej ilości; książę mógł poń posłać do pierwszej lepszej apteki — w końcu, po stopieniu wszystkich środków, na dnie tygla zawsze było złoto!



WILANÓW. (Obacz objaśnienia rycin na str. 144.)

Niech nam będzie wolno dla poparcia naszego twierdzenia podać jeszcze jeden — potwierdzony, a jakże — wypadek, w którym się udało przeistoczyć żelazo na złoto. Pewien alchemista niemiecki, nazwiskiem Thurneisser, zanurzył w obecności kardynała Ferdynanda de Medici koniec gwoździa żelaznego w płynie olejkowatym, a potem obtarł go szczelnie i wtedy ku zdziwieniu obecnych spostrzeżono, że koniec ten był szczero złoty. Na szczęście gwóźdź ten przechował się aż do naszych czasów, tak że nowsze badania zdołały udowodnić, iż koniec ten jest po prostu przylutowany. Majster alchemista pomalował go poprzednio, aby był podobny do reszty gwoździa, a farba puściła w oleju i ot, cała sztuka!

Wychodząc ze stanowiska dzisiajszej nauki, moglibyśmy bez ogródki oświadczyć, że przeistaczanie innych kruszców na złoto jest po prostu niemożliwem i było niem po wsze czasy. Któż jednak śmiałby twierdzić, że chemiczne badania naszych czasów, choć przybrały rozmiary, o jakich się nikomu nigdy nie śniło, doszły już do ostatnich granic, do których nauka dojść może? My nie przypuszczamy ani na chwilę, żeby tak było, i dla tego, choć nie uwzględnimy — zapewne słusznie — dokumentów o dokonanych projekcyach, przechowanych z minionych wieków aż do naszych czasów, nie możemy wydać sądu, jakoby przeistaczanie kruszców było absolutnie niemożliwem. Byłoby ono niemożliwem, gdyby się udało udowodnić, że złoto jest materyą pojedyńczą, jednolitą. Tego nauka dzisiajsza nie może udowodnić; dotąd nie zdolniśmy jeszcze określić zupełnie jasno, co to jest element, —

tem bowiem mianem oznaczamy materyą pojedyńczą, — możemy tylko powiedzieć, że element to ciało, którego się nam jeszcze nie udało rozłożyć na inne materye. Dopóki nie udowodnimy absolutnie, niezbicie, że rozkład taki jest istotnie niemożliwym, dopóty nie można wykluczyć możliwości, że złoto jest skupieniem dwóch lub więcej materyi, i to tak ścisłem, niezwyczajnem, iż nam się nie udało jeszcze ich rozdzielić.

Może kiedyś, gdyby się nam udało istotnie rozłożyć złoto sposobem chemicznym, przekonamy się, że jego części składowe to dwie zwykłe i w przyrodzie wcale nie tak rzadkie substancye i że ich zestawienie i rozłączenie to arcyprosta rzecz, tylko że ludzie nie zabierali się do tego w właściwy sposób. Przypadki chodzą po ludziach, a już niejeden wywołał wprost przewrot w dziedzinie naukowej.

W naukowych badaniach trzeba w ogóle nadzwyczaj oględnie używać wyrażenia: to jest niemożliwe! Jeszcze nie tak bardzo dawno temu pewien angielski mechanik dowiódł zupełnie niewątpliwie, że jest niepodobieństwem, aby między Europą i Ameryką chodziły parowce. Rzadko kto nie dał się przekonać o niemożliwości tego zamiaru, a w kilka miesięcy później pierwszy parowiec przerznął szczęśliwie nurty atlantyckiego oceanu i przybił do brzegu amerykańskiego ku zdumieniu całego świata. Filozof Hegel podał na początku bieżącego stulecia zadziwiający bystrością uwag dowód, że w pewnem miejscu na niebie, gdzie nie zdołano zauważyć żadnej gwiazdy, nie może być też żadnej gwiazdy, że miejsce to musi być próżne. Tymczasem jeszcze rok nie upłynął, a już astronom Piazzi znalazł tam gwiazdę, dziś ich w tem miejscu liczą więcej niż sto! Któż z żyjących byłby przypuszczał jeszcze przed kilkunastu laty, żeby można chemicznie zbadać, z jakich ciał się składają słońce i gwiazdy! Uważanoby go za człowieka, któremu nie dostaje piątej klepki — a dziś? Dzięki badaniom takich uczonych jak Bunsen i Kirchhof rzecz to tak prosta, że jej każdy chemik dokonać potrafi.

Należy się zatem dobrze namyślić, zanim się wyda orzeczenie, że coś w nauce jest niemożliwem. My nie rozsądzamy przeto wcale, czy zamienianie innych kruszczów lub substancyi w złoto jest rzeczą możliwą lub niemożliwą. Z historyi alchemii nie podobna nabrać żadnego przekonania, nauka dzisiejsza zaś nie zaprzecza zupełnie absolutnie możliwości wyrabiania złota, ale to pewna, że tylko na drodze naukowych badań możemy dojść do upragnionego celu, do rozwiązania zadania, nad którem tylu zdolnych i uczonych mężów podaremno łamało sobie głowę. Jeżeli istnieje możliwość wyrabiania złota, natenczas kiedyś w przyszłości badacz ją wynajdzie, postępując stopniowo w wiedzy i doświadczeniach, opierając się przy coraz nowszych usiłowaniach na doświadczeniach i próbach wszystkich swych poprzedników. Nauka dała już tyle odpowiedzi na nie mniej trudne zapytania, czyżby jej się nie miało udać uchylić zasłony, za którą ta tajemnica ukryta! Cierpliwości, cierpliwości!

To pewna, że wynalezienie sposobu wyrabiania złota wywołałoby w życiu społecznem ogromny przewrót, oczywiście, jeżeli ten sposób będzie znacznie tańszy od dziś znanego sposobu wydobywania złota; inaczej bowiem sprawa ta miałaby tylko znaczenie naukowe. jak dziś wyrabianie dyamentów, zbyt małych a tak drogich, że te, które znajdujemy w przyrodzie, są znacznie tańsze. Może więc, że złoto będzie znacznie tańsze, że będzie miało tylko tyle wartości co stare żelazo na składzie u żyda, cóż wtedy? Choćby i tak było,— dla nas sprawa ta nie przedstawia więcej interesu od pytania, co będzie warte drzewo i węgle, skoro ziemia tak bardzo się zbliży do słońca, że nie będziemy potrzebowali ognia, lub co ludzie poczną, kiedy się spotrzebują węgle, choć ich jeszcze starczy na wiele, wiele lat? Duch ludzki dał sobie tyle razy radę, da sobie i później radę, Pan

Bóg nie da mu zginąć i nie nasz to kłopot. Czego alchemia nie dokazała, której chodziło tylko o wydobycie jednego środka do życia — pieniędzy, tego z pewnością dokaże chemia, której zdobycze i zasługi około spółeczeństwa już dziś są godne podziwu.

Estan z Bytomia.

OJCOWIE PUSTYNI.

Podziwienia godni byli mężowie, którzy udali się na puszczę, aby tam całe życie przepędzić na modlitwie i pokucie za siebie i innych, którzy tylko na to przerywali milczenie i usta otwierali, aby albo śpiewać chwałę Bogu, albo zbudować mową odwiedzających, albo uczyć młodszych pustelników, aby i oni bezpiecznie postępowali dalej po drodze doskonałości do celu, do którego dążyli, a celem ich był Pan Jezus sam, który rzekł: Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest.

Spisano wszystko we wielu księgach, co czcigodni mężowie czynili na pustyni i mówili, i z tego widzimy, jak im chodziło o zbawienie, jak surowe życie prowadzili, jak się głęboko zastanawiali nad tem, co mówili, tak że można było o nich powiedzieć: »Kto mądrze gada, ten też mądrze działa, znają się na prawdzie i sprawiedliwości i wydają ze siebie mądre mowy i reguły«.

Czytamy np. o św. Hilaryonie: Mając lat piętnaście, udał się do św. Antoniego, o którym wiele słyszał. Poruszony tem, co tu widział i słyszał, postanowił żyć podobnie, rozdał majątek odziedziczony po rodzicach, ubogi udał się na pustynię pomiędzy Palestyną a Egiptem leżącą, gdzie przebywał pięćdziesiąt lat, znosząc gorąco i zimno, głód i pragnienie. W pierwszych latach życia pustelniczego jadał dopiero po zachodzie słońca i to nie więcej jak piętnaście fig. Czas, w którym się nie modlił, obracał na to, aby pleść koszyki i uprawiać rolę. Później pościł jeszcze surowiej, bo dopiero po trzech lub czterech dniach pożywał nieco fig i ziela. Mieszkał z początku w chacie, którą sobie zrobił ze sitówia. Potem sobie wybudował w dwudziestym pierwszym roku celę półtora metra wysoką i nieco węższą i długą. Od dwudziestego pierwszego roku do czterdziestego pierwszego spożywał dziennie tylko kilka ziółek, w trzech latach następnych suchy chleb ze solą i wodą, potem surowe korzonki i surowe zioła; od czterdziestego szóstego roku już ani chleba nie jadał. Dla umartwienia tylko raz zwiedził miejsca męki Pańskiej w Palestynie, chociaż nie zbyt daleko ztąd mieszkał.

Raz przyszło Hilaryonowi na myśl odwiedzić innego pustelnika, Epifaniusza. Tenże bardzo się ucieszył odwiedzinom, a kiedy się nawzajem zbudowali rozmowami, chciał Epifaniusz przyjaciela dobrze ugościć. Zgotował mu więc potrawę z ptaków. Lecz Hilaryon nie chciał jeść, ponieważ przez całe życie pustelnicze nie jadał mięsa, w ogóle nic ze zwierząt.

A ja, — rzekł Epifaniusz, — nigdy nie zezwoliłem na to, aby ktoś zasnął, ktoby miał coś na sercu przeciw mnie, ani abym ja zasnął, mając jaki niepokój w sercu przeciw komu innemu.

Przebacz, — rzekł Hilaryon, — twoja reguła, ojcze, według której żyjesz, jest lepsza, aniżeli moja.

Wiele pięknego znajdujemy w żywocie św. Makaryusza, któremu nadano miano wielkiego. Tenże pasał za młodu bydło i schodził się z innymi młodymi pasterzami. Pewnego razu pozwolił się namówić, aby ukraść figi; lecz wnet żałował grzechu, opuścił życie pasterskie i udał się w pobliże wsi egipskiej, gdzie mieszkał w nędznej cha-

cie. Tam oddawał się pokucie i robił koszyki. Przykład jego i bogobojne upomnienia służyły wielu ku zbawieniu i sprawiły, że się namyślili, poprawili i prowadzili życie doskonałe. Prawdziwe złote słowa wypowiedział. Pewnego razu rzekł do braci na pustyni: »Życie więcej znaczy aniżeli nauczanie słowami, aniżeli nauczanie bez życia świątobliwego. Kto żyje świątobliwie, pożytecznie, działa, chociaż milczy; kto źle żyje, szkodzi już przez swe złe myśli, przynajmniej sobie. Gdzie jest życie świątobliwe i nauczanie, tam jest doskonała mądrość«.

Makaryusz był dla wszystkich braci bardzo łagodny i pełen miłości. Kilku braci zapytało go się niby, ganiąc, czemu się zawsze tak zachowuje? Odpowiedział im: »Już dwanaście lat błagam Pana pokornie, aby mi dał łaskę ludzkości i miłości względem wszystkich, jakże możecie mi radzić, abym się znowu pozbył tej łaski?«

Niektórzy ojcowie pytali się Makaryusza: »Zkąd to pochodzi, że ciało twoje, czy jesz, czy pościsz, zawsze jest równie chude?« Odpowiedział: »Drzewo obłożone wiórami wnet ogień spali. Tak się też rzecz ma z człowiekiem; jeżeli duch jego jest oczyszczony przez bojaźń Boga i jakoby w nią owinięty, wtenczas bojaźń Boga niszczy jego ciało, to znaczy wszystko grzeszne w nim«.

Makaryusz rzekł do pewnego brata, który ganiąc innych, czynił to z wielką popędliwością: Jeżeli upominając innych, sam wpadasz w gniew, to oddajesz się swej namiętności; lecz nie powinieneś, chcąc innych ratować, samego siebie niszczyć.

Kiedy pewnego razu Makaryusz z kilku braćmi wędrował po Egipcie, słyszeli, jak synek rzekł do matki: »Matko, tam ten bogacz kocha mnie, lecz ja go nie kocham; natomiast owego żebraka który mnie nienawidzi, ja kocham«. Święty zastanowił się ze zdziwieniem nad temi słowy; bracia znowu dziwili się, jak on się mógł zastanawiać nad mową takiego dziecka. Staruszek wytłómaczył im to, mówiąc: »Widzę w słowach dziecka głęboką mądrość; Bóg jest tak bogaty i kocha nas, a my go nie kochamy, bo go nie słuchamy; nieprzyjaciel nasz, szatan, jest ubożuchny, i nienawidzi nas, jak tylko może, a jednak go kochamy mimo tego, że jest brzydki.

O pewnym opacie, Orontesie, opowiadają co następuje: W pewnej puszczy na wschodzie, w których mieszkali od czwartego wieku po Chrystusie Panu liczni pustelnicy, którzy się tylko zgromadzali w Niedziele i święta na nabożeństwo, przyszedł Orontes do świątyni w bardzo dziwacznem ubraniu. Zawiesił bowiem płaszcz swój przewrotnie na siebie, dolna część była na ramionach, a to nawet na pustyni musiało się dziwnem wydawać. Kiedy święty mąż stał spokojnie w chórze, jakoby nie uważał, iż się w czem pomylił, przyszli do niego dozórcy świątyni i rzekli: »Opacie Orontesie, co robisz? Czy nie widzisz mnóstwo pielgrzymów i obcych naokoło siebie? Czy nie widzisz, jako palcami na ciebie wskazują i myślą, że oszalałeś?« Orontes pytał się, czemu się ludzie dziwią, i spostrzegł, że się pomylił, biorąc płaszcz na siebie. Lecz korzystał ze sposobności i powiedział kazanie; przystępując do obcych, rzekł poważnie: »Wyście przewrócili górę Sinai i nikt się temu nie dziwował; ja tylko płaszcz przewrotnie przywdziałem i zaraz się pytacie: czemu ten głupiec nosi płaszcz przewrotnie? Idźcie, zbudujcie napowrót i uporządkujcie, coście zburzyli i przewalili, to i ja płaszcz znowu poprawię, który nie dobrze zawiesiłem.«



W ROZKWICIE.

MIESZKANIA LUDZI OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW.

(Dokończenie.)

Rzym starożytny jeszcze w połowie istnienia Rzeczypospolitej był miastem niepozornem, źle zabudowanem. Katon w starości dopiero zdecydował się kazać obielić ściany swego mieszkania. Ale w sto lat potem widok Rzymu zmienił się nagle, a zwłaszcza po pożarze za Nerona, miasto napełniło się wspaniałemi budynkami. Ulice były po obu stronach objęte w chodniki z kolumnadą, które cesarz kazał własnym stawiać kosztem. Bardzo wiele do upiększenia miasta przyczynił się również i Trajan. Te publiczne budowle nie pozostały bez wpływu na urządzenie domów prywatnych. W domu rzymskim zamiast nielicznych przyjaciół zbierał się tłum klientów, skromne uczty familijne ustąpiły miejsca wielkim biesiadom, a stare święte ognisko rodzinne wygnane zostało do odległego zakątka domu.

Mamurra, pomocnik Cezara w Galii, pierwszy kazał ściany swego domu wyłożyć marmurem. Dom konsula M. Lepida, w którym po raz pierwszy progi były z marmuru numidyjskiego, uchodził początkowo za najpiękniejszy w Rzymie, po latach trzydziestu nie zajmował już i setnego miejsca między pałacami. Coraz bardziej pożądano ściennych malowideł i mozaik; a w odkopanych Pompejach widzimy, jaki przepych rozwijało miasteczko prowincyonalne, którego znaczenie zupełnie niknęło w obec Rzymu. Słupy i pokoje wykładano złotem, różnobarwnemi kamieniami i perłową macicą. Posadzki ze słoniowej kości w jadalniach wykręcały się, ażeby przepuścić rury i rogi, z których spadały kwiaty i wonność na biesiadników.

Kąpiele urządzano z wody gorącej i zimnej, morskiej i źródlanej. Neron wybudował dom złoty, a jakkolwiek urządzenie jego było wielkie i rozrzutne, to przecież za Teodozyusza znajdowało się wiele pałaców, z których każdy przewyższał go rozmaitością. Mierny, niewystawny pałac miał własne place, drogi do przejażdżki: świątynie, fontanny, kolumnady, zwierzyńce i ptaszarnie, stawy i gaje. Ale na wsi, gdzie potentaci urządzali swoje wille, smak z początku dobry wyrodził się w przewrotną pstrociznę i obrzydły barbaryzm. Zaczęto szczepić naturę zamiast ją upiększać; a pierwsze popodcinane drzewa-kaleki, które dziś jeszcze napotykamy w starych francuskich ogrodach, owe strome, prostoliniowe ściany i owe floresy i napisy z nizkich krzaków, śmieszne zwierzęce postacie, piramidy i okręty, wprowadzone zostały w modę przez rycerza K. Marcyusza, jednego z przyjaciół Augusta.

W tych zbytkownie upiększonych pałacach znajdowały się tak zwane izby biednych; były to pokoje urządzone ubogo, które w pewnych dniach zamieszkiwano, ażeby przez rzekomy niedostatek podnieść nadal przyjemność używania przepychu.

Dzisiaj pokonano już te zboczenia smaku. Prawdziwe zamiłowanie domowej strzechy objawia się już inaczej, szczęścia i zadowolenia szukamy między »czterema ścianami«. Anglik uważa się za biednego, jeżeli nie ma choćby najmniejszego, ale własnego domku dla siebie i rodziny swojej.

Mój dom jest moim zamkiem — oto jego dumne przysłowie.

KONIEC.



Stosunki szląskie za czasów udzielnych książąt Piastowskich.

Rządy książąt szląskich w samych początkach zależały od księcia krakowskiego, mającego zwierzchnictwo nad całą ziemią Polską, do której Szląsk należał. W drugiej generacyi, gdy zwichnięte zostało prawo starszeństwa w rodzie Krzywoustego, osłabiły się łączące ich węzły, powoli stawali się niezależnymi, pisali się panującymi »z Bożej łaski«, posiadali prawo życia i śmierci swych poddanych, byli naczelnikami siły zbrojnej, prawodawcami, a mając w ręku wszystkie prawa niezawisłych książąt, prowadzili wojny zaczepne i odporne. W ważniejszych chwilach zasięgali dobrowolnie rady swego otoczenia złożonego z możniejszych panów rodu szlacheckiego, który to stan, stanowiący zarodek siły zbrojnej, na każde wezwanie księcia stawał gotowy do boju. Pierwiastkowo służba wojenna obowiązywała całą ludność kraju, z czasem książęta zaczęli uwalniać lud osiadły w dobrach klasztornych i duchownych od wojny zaczepnej, zastrzegając sobie jej współudział w obronie kraju, lub pomoc w osadzaniu warowni w czasie wojny. Na poddanych ciężył także obowiązek dawania pomocy przy budowie nowych twierdz i utrzymywanie w dobrym stanie dawnych.

Książę jako pan kraju był właścicielem wszelkich nie osiadłych gruntów. Do niego należało górnictwo krajowe; gdy nadawał prawo wydobywania kruszców, zastrzegał sobie dwunastą część czystego zysku, od której dziesiątą przekazywał dla kościoła. Do niego także należało prawo bicia monety, które w swoim czasie znacznem dla niego było źródłem dochodu. Do jego skarbu wpływały dochody z ceł, które często z pojedyńczych miejscowości przekazywali na korzyść duchowieństwa.

Sprzedaż różnych produktów, jako to soli, mięsa i t. d. od niego zależała, na którą za opłatą udzielał pozwolenie, zaś osobnymi przywilejami obsadzał cechy rzemieślnicze po miastach. Obok powyższych praw pobierał podatki i korzystał z różnych darmoch wypływających ze zwyczaju, które znane są tylko z wyłączeń czynionych dla nowo obsiadłych kolonistów, a które miejscową obowiązywały ludność.

Służebności na korzyść panów, księcia lub kraju odbywane były najróżnorodniejsze, z nich pospolitsze były, »poradlne«, podatek płacony z gruntu uprawianego, »podworowe« od placów zabudowywonych, »dań«, rodzaj daniny składanej z najróżnorodniejszych przedmiotów, »pomoc« rodzaj należności z dobrej woli w chwilach potrzeby składanej, lub też za karę nakładanej, »targowe«, wnoszone od sprzedających, oprócz tych wiele jeszcze innych. Inny rodzaj powinności pod nazwaniem »angariae i perangariae« obciążał ludność kraju, do tych należał »powóz« (prewod, slad), znaczył tak dobrze pańszczyznę ciągłą jak i pieszą, »podwoda«, używana dla posłańców służbowych księcia, dawała wiele bardzo powodów do nadużyć, »prewod« przewodnik, obowiązek przeprowadzenia i wskazania drogi, pomoc przy przeprawach rzek, »stan«, miejscowości nawiedzane od księcia i jego dworu obowiązane były ich utrzymywać. Włościanie w ogóle obowiązani byli pola książęce uprawiać (aratura), drwa do opału przygotowywać, zboże kosić i młócić (preseca). Polowania książęce nie mały ciężar ludności wiejskiej przyczyniały, bo oprócz osobistego współudziału pieszo lub konno, do nich należało utrzymanie strzelców, doganiaczy, doglądaczy psów i psy same. Mieli na swej pieczy sokolników i bobrowników, którzy tej zwierzyny pilnowali. W wypadkach nadzwyczajnych dostania się księcia do niewoli, lub zajęcia jakiej twierdzy lub miasta przez nieprzyjaciela, gdy bez wykupu obejść się nie można było, tak stan szlachecki jak i poddani składali nadzwyczajny podatek, a

często także wyposażanie córek książęcych tym sposobem się odbywało. Zebrawszy te wszystkie dochody, przyznać należy, iż uposażenie książąt było znaczne, bo oprócz tego posiadali własne dziedziczne dobra, z których dochód ciągnęli.

Skutkiem zapatrywania się na kraj jako własność i dziedzictwo system następstwa tronu nie był uregulowany, bo każdy z synów uważał się dziedzicem części ojcowizny, co wyrodziło rozdrobnienie, a w następstwie upadek władzy książęcej.

Sprawiedliwość wymierzał książę lub osoby od niego wyznaczone ze szlacheckiego lub duchownego stanu. Sądy były wyższe i niższe: do wyższych należały sprawy, w których wyrokowano karę śmierci lub zadanie kalectwa i takowe podlegały kasztelanom; niższe były przez żupanów sądzone, których powoli burgrabiowie grodowi zastąpili. Kasztelanowie zajmowali się przeważnie wojskowemi czynnościami powierzonego im okręgu, a władza burgrabiów ograniczoną została z czasem do samego obrębu grodów skutkiem zaprowadzania prawa magdeburgskiego i udzielanych wyłączeń tak duchownym jako i świeckim majętnościom.

Kary pieniężne wymierzane przez sądy książęce wpływały do jego skarbu, zaś w miejscowościach, gdzie duchowni lub świeccy posiadali w ręku niższe sądownictwo, od kar opłacanych książę pobierał tylko pewną część. Dla miejscowości obdarowanych prawem magdeburgskiem i dla osób wyjętych z pod władzy burgrabiów, był mianowany osobny sędzia (judex curiae), który sprawy tego rodzaju rozsądzał.

Książę otoczony był licznym orszakiem ludzi piastujących godności dworskie, u których często spotyka się dodany tytuł hrabiego lub barona, ale znaczenie dziedziczności nie było do niego przywiązane, odznaczało to wyższego dygnitarza ze stanu szlacheckiego.

(Dokończenie nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Wilanów, wieś o milę od Warszawy po nad Wisłą położona, poprzednio Milanowem zwana, nabytą została w r. 1677 od rodziny Milanowskich przez króla Jana III Sobieskiego, który, sprowadziwszy z Włoch artystów i rzemieślników pod kierunkiem Józefa Belloti, wzniósł tu pałac w stylu włoskim z dwoma skrzydłami i otoczył go ogrodem, ze wspaniałymi szpalerami, do których sadzenia własną ręką pomagał. Ulubioną siedzibę nieustannie ozdabiał dziełami sztuki, z Włoch sprowadzonemi, obrazami, posągami i marmurami. Etruskie naczynia, kosztowne sprzęty i rozliczne cacka, przyozdobiły wnętrze komnat królewskich. Wszystkie te przedmioty wraz z biórkiem, ofiarowanym przez papieża Janowi III po jego zwycięztwie pod Wiedniem, dochowane zostały jak najtroskliwiej. Napis na pałacu, przez króla samego ułożony: Quot vetus urbs coluit, nunc nova villa tenet, »Co stare miasto (Rzym) czciło, teraz nowa wieś posiada,« naprowadził na myśl zmiany dawnej nazwy Milanowa na V i l l a n o v a, W i l a n ó w.. Ukończywszy budowę, Sobieski rad tu przebywał i tutaj też żywota swego dokonał 17 Czerwca 1696 r. Po śmierci Jana III Wilanów dostał się synowi jego Konstantemu, który sprzedał ojcowską siedzibę (1724 r.) Helenie Sieniawskiej, wdowie po hetmanie. Odtąd Wilanów drogą spadku po kądzieli dostaje się Czartoryskim, Lubomirskim, a wreszcie Potockim, w których ręku dotąd pozostaje. Pałac nie tylko nie stracił nic na dawnej swojej świetności, ale przeciwnie, ozdobiony nowo przybudowanym pawilonem, mieści w sobie piękną galeryę obrazów, zbiory różnorodnych dzieł sztuki i mnóstwo drogocennych osobliwości w sprzętach, naczyniach, ozdobach, broni itp., nadto gabinet numizmatyczny, jeden z najznakomitszych w kraju, i bogatą bibliotekę. Kościół parafialny, przebudowany ostatnimi laty wspaniale i wielkim kosztem przez hr. Augustową Potocką, w stylu włoskim, niemało się do ozdoby Wilanowa przyczynił.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.